

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 12—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona -- 80 zł.

1/2 " -- 40 "

1/4 " -- 20 "

1/8 " -- 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Od Wydawnictwa.

Za przykładem lat ubiegłych zawieszamy wydawnictwo „Przeglądu Wileńskiego” na przeciąg lipca, aby dać możliwość skorzystania z wypoczynku letniego szczeremu personelowi redakcyjnemu. Następny numer ukaże się w połowie sierpnia.

Karykaturalny projekt.

Przed kilku miesiącami już za rządów obecnego gabinetu p. Grabskiego zostały wniesione do Sejmu sześć projektów samorządu miejskiego i wiejskiego, których dalszy los nie jest nam dokładnie znany. Zdaje się, że rząd sam, spostrzegłszy fatalne wrażenie, jakie wywarły one na posłów sejmowych, wycofał je niezwłocznie w celu nowego ich opracowania.

Nowy projekt dotychczas bodaj nie został złożony w Sejmie, wycofany wszakże daje wyraźny przedsmak tych tendencji, jakimi rząd polski się kieruje w dziedzinie samorządowej i zwłaszcza w stosunku do t. zw. kresów i mniejszości narodowych.

Znany publicysta białoruski p. Sulima zadał sobie trud zanalizowania owego niefortunnego projektu rządowego w broszurze p. t.: „Jaki samourad gatuje białoruskiemu narodowi Polska Republika?”.

W myśl przysłowia *ne sutor ultra crepidam*, było by naiwnością przypuszczać, że prawodawca polski uwzględni w pełni albo przynajmniej w szerokiej mierze prawa i potrzeby ludności „kresowej”. To wszakże, czem rząd polski zamierzał obdarzyć ziemie litewsko-ruskie, jest po prostu karykaturą i zasługuje w zupełności, by zostać wyrzuconym —

według trafnego wyrażenia p. Sulimy *na historyczny śmietnik*. Samorząd, należycie pojęty i przeprowadzony, pod żadnym względem nie upośledza prowincji, lecz najściślej uzgadnia tryby przedstawicielstwa wiejskiego i miejskiego z sejmem, jako przedstawicielstwem całości państwa lub pewnej jego części, stanowiącej jednak organizm odrębny. Tymczasem samorząd projektowany dla gmin (ten nas najbardziej w danym wypadku interesuje) pozostaje w jaskrawej sprzeczności z zasadami obowiązującej Konstytucji. Tak np. samorząd gminny *nie* będzie u nas oparty na równości praw wyborczych... Osobliwa ta ordynacja wyborcza szacuje Polaka aż czterokrotnie droższym od Białorusina! Rozumie się, ustawa samorządowa o tem wprost nie mówi, ale obdarzając szeregiem przywilejów kresowych Polaków (ziemiaństwo, urzędników i osadników), wytwarza nierówność powyższą. W istocie jest to najprawdziwszy zamach, wykonany niegodnymi środkami przez silniejszych dziś nad słabszymi, którzy brakującą im siłę posiadać już mogą, będą jutro... Jeszcze jeden dowód, jak opaczną drogą kroczy rząd warszawski do rozwiązania problemu „mniejszości narodowych”.

Jakże kruchą jest wiara polska w *czysto polski charakter kresów...*, skoro głos jednego Polaka wart jest czterech białoruskich!

Wybory do rady gminnej, odbywane pod kontrolą starościńską, dają nędzną parodię wolności i niezależności. Tą drogą łatwo powstać może nie rada — przedstawicielstwo, lecz dobrze zgrana kompanja, klika, skacząca, według przysłowia białoruskiego, *jak pan każe*. Ordynacja przewiduje w Radzie gminnej możliwość *podziału mandatów bez głosowania* (p. II), jaki to kłopot chętnie zdejmie z jej członków komisja wyborcza, składająca się przecież z pięciu starościuków i *szóstego starościńskiego „ucha” i „oka”...*

A wymaganie *władania mową polską w słowie i piśmie*? Czyż to nie znakomity sposób, by utracić z urzędu każdego, kogo się zechce?! Wymaganii temu nie odpowiada dziś nawet znaczna ilość nauczycielstwa szkół powszechnych po wsiach!.. Jakie to typowo polskie przerzucanie się od karygodnego niedbalstwa do gorliwości maksymalnej... Tylko dla sołtysa mowa polska nie jest warunkiem niezbędnym.

Osobliwy posmak ma też prawo policjantów do kandydowania — jeszcze będąc na służbie! — na członków Rady gminnej. W tym wypadku, jak ironizuje p. Sulima, wystarczy, by delegat starosty postawił wyborcom wiejskim pytanie: *kto przeciwko panu przodownikowi, niech podejmie jak najwyżej rękę!*.. Rzecz jasna, że do walki z Jowiszem nikt ze śmiertelników stanąć się nie poważy... Ładne wybory! Nowością ustawy samorządowej nazwać również wypada posadę *wójta zawodowego*, jaki obierać się będzie aż na 8 lat!.. Profesja ta opłacać się będzie teraz stałą pensją, wreszcie emeryturą, wszystko — kosztem gminy, a więc ludu. Ponadto, jak z rogu obfitości spada w ręce wójta jeszcze nadział ziemi w razie jego niewyboru. Gdzież znaleźć pod słońcem kraj o lepszych warunkach bytowania dla wójtów? Biada jednak, jeśli członek Rady gminnej stracił zaufanie i szacunek starosty — na przeciąg lat czterech staje się on niezdolnym do pełnienia urzędu w Radzie.

Zadne instrukcje wyborców nie wiążą członków sejmików powiatowych, a o nieprawidłowościach dokonanych czasu wyborów sądzi zawsze ten sam *wszechmogący i wszędzieobecny starosta, pełniąc w jednej osobie rolę prezesa sądu, prokuratora, sędziego i komornika...* Taka koncentracja władzy, praw i przywilejów w jednej osobie kryje w sobie ogromne niebezpieczeństwo nadużyć, trudno bowiem

o silniejszą pokusę do załatwienia spraw według własnego widzimisie.

Kwestja wynagrodzenia w samorządzie tak jest znowu postawioną, że umożliwia bardzo podmiotowe tłumaczenie odnośnych artykułów. *Bezpłatny z zasady*, Wydział Powiatowy może jednak wypłacać swym członkom *określone zgóry kwoty...* Ditto *pobierać w naturze*.

Słusznie przy końcu swej świetnej krytyki ustawy samorządowej powiada p. Sulima: *Czy to ma znaczyć np. że i w Wilnie podczas wyborów do Rady Miejskiej Polacy będą mieć po 4 głosy każdy? że przed wyborami kandydatów Żydów i Białorusinów starosta p. Grabowski podda egzaminowi we władaniu mową polską? czy po wyborach będzie „uchylać” i „unieważniać”, gdy się okaże, że „władają” oni źle itd.?...* Jakże znamieną jest ta obawa polskiej władzy państwowej przed swobodnym wypowiedzeniem się „czysto polskich” miast! Według p. Sulimy ta twórczość „genjusza prawnego” Polski współczesnej będzie doskonałym atutem dla Moskwy i Genewy. Samorząd tego pomysłu, dzięki przyczepionym doń policyjnym klauzulom, z włościanina kresowego faktycznie uczyni obywatela drugiej klasy, na którego wnet się rzuci zgraja karjerowiczów, *chciwych pensji, dodatków, świadczeń, kwot, diet i kosztów*.

Ostatecznie taki samorząd obniży ogólny poziom obywatelski, nawet w społeczeństwie polskim.

HEL. ROM.

Śnił sen...

(Dokończenie).

Kławdzia więc pełzał, przysiadł, zadrzemował, zlewał, gwizdał, to mu robiło specjalną przyjemność; ostrym, świdrującym piskiem dawał znać pod oknami rządcy i ekonoma, koło sypialni państwa i kredensu o swej czujnej obecności. Ze przytem żywił na dnie niewinnej duszyczki niesformułowane przeświadczenie, iż właśnie ta gwizdawka odpędza złodziei i złych ludzi, bo jest *naszeptana i zamaulana*, więc bez trwogi wędrował po olbrzymim przestworzu, właśnie jak mała łódka po oceanie, lub Tomcio Paluch po krainie baśni.

Wielkie drzewa starych alei, szumiały mu nad głowiną pieśni senne i smętne, w których była jeszcze zgroza zimowych miesięcy i wątpla nadzieja wiosny. Wiatr pachniał ślicznie, niosąc zdaleka obietnicę kwiatów, oraz wonie nikłe, nieśmiałe jak szepty, subtelne jak myśl ulotna, miodne już, a jakby do-

piero odmarzające, jakby odetknięte, puste, zwierzałe flakony na gotowalni wiosny, przystrajającej się do nowej fety. Młodziutkie listki były tak jeszcze wątłe, że nie mogły wydawać głosu i tłumiły tylko swym miękkim, zgniecionym jedwabiem szcękliwy szelest twardych, nagich gałęzi. Ziemia mocowała się w sobie, nabrzmiewając pokarmem, jak pierś rodzącej matki, aż szły po przez dalekie pola i łąki, wskroś ogrodowych altan i alei, jakieś głuche stękania, kędy w cieniach gąszczów zamróz popuszczał glebę z kleszczy, lub wody rozpetane przenikliwymi promieniami słońca, parły się na jaw ze stężonych głębin.

W dali w parowie, skąd wyraźnie za oddechem wiatru załatywała woń fjołków i miodu, gaworzyła kryształowemi zgłoskami rzeczulka, wieczna pośpieszka-śmieszka, niosąca się przez okolice z plotkami, gawędą, burkotem, kłócąca się z głazami, zagradzającami jej pęd opętany, niosąca gałęzie i wikliny z wiecznie pilnym interesem do zamyślnego, siwego jeziora, spoglądającego na wesółkę okiem uśmiechniętego błękitu w dni słoneczne. Kławdzi się zdawało, że w nocy rzeczka gada tak wyraźnie... tak coś opowiada, napędza, woła... że tylko pójść posłu-

Sprawa Raduńska.

W pow. Lidzkim jest niewielkie miasteczko Raduń. Od niepamiętnych czasów mieszana pod względem narodowościową ludność parafji Raduńskiej, miała kazania polskie i litewskie. Najstarsi bodaj z parafjan nie pamiętają dziś, żeby kiedyś było tu inaczej. I taki porządek nabożeństw przez długi okres czasu mniej więcej odpowiadał religijnym potrzebom ludności miejscowej, mówiącej po polsku, litewsku i białorusku. W roku 1912 z polecenia ówczesnego administratora djecezji ks. Michalkiewicza przeprowadzono dokładną statystykę ludności w parafji Raduńskiej, przyczem na ogólną ilość parafjan 6.417, naliczono 2.981 osób, które zaznaczyły swą *litewską* narodowość. Statystyka ta zasługuje na wiarę jeszcze z tego względu, że potwierdza się do pewnego stopnia danymi liczbowymi, które operuje strona polska, dowodząca, że w Raduniu w roku 1921 na 10.000 parafjan było 76% Polaków i 24% Litwinów. Późniejsze badania, przeprowadzone w r. 1923 przez mieszaną polsko-litewską komisję, mówią, że liczba Litwinów w Raduniu jest dziś ponad 3.000. Wśród nich sporo jest osób (dzieci i niewiasty), niezających dostatecznie *żadnej* innej mowy poza litewską. Badając zagadnienie języka nabożeństw dodatkowych w Raduniu, biskup sufragan Michalkiewicz, prałat Uszyłło i ksiądz St. Chodyko, wszyscy trzej Polacy, oświadczyli najkategoryczniej, że język litewski w tym kościele jest ze względu na skład ludności nie tylko pożądanym, ale wprost *koniecznym!* Obecność niemałej grupy Litwinów w parafji Raduńskiej jest tak oczywista, że nawet najwięksi warcholi polscy, wszczyńający ustawicznie burdy kościelne, nie wążą się temu zaprzeczyć.

Ilość nabożeństw litewskich, istniejących oddawna w kościele Raduńskim, ujął w pewną normę ówczesny administrator apostolski ks. Michalkiewicz, ustalając 28 lipca 1912 r. ich proporcję, czas i porządek. Czy zarządzenie to zadawało Litwinów w Raduniu, napewno nie wiemy, było jednak ono

pewną gwarancją ich potrzeb i praw wobec niepewnej zawsze przyszłości. I ten porządek, w osnowie niezmienny, pozostał dotychczas. Biskup Matulewicz dokonał nieistotnej a drobnej tylko zmiany, w której każdy nieuprzedzony musi uznać pewne uprzywilejowanie Polaków w Raduniu kosztem ich litewskich spółparafjan. Tak gdy do biskupa Matulewicza w Raduniu litewskie dodatkowe nabożeństwa odbywały się w dni oznaczone łącznie z sumą i niesporami, ten zarządził *odprawianie ich odtąd poza sumą* (po odśpiewaniu polskiego *Anioł Pański*) i *nieszporami*, przyczem na kazania litewskie przeznaczono tylko pół godziny, a na śpiew zaledwie kwadrans. Czyż może być miara skąpszą skromniejszą? Próżno delegacje litewskie z Radunia obijały progi pałacu biskupiego w Wilnie, by wyprosić przedłużenie śpiewów litewskich do całej godziny. Pierwotne zarządzenie pozostało w swej sile. Z powyższego widać, że władza duchowna, pozwalając na dodatkowe nabożeństwa po litewsku, dysponowała tylko *wolnym kościołem*, opróżnionym już po sumie i nieszporach. Tak skąpo i skromnie okrojona miara nabożeństw litewskich nie jest nawet bezpośrednim przedmiotem napaści ze strony kliki agitatorów, którzy, jak zobaczymy to niżej, co do kościoła w Raduniu trzymają się wręcz innej taktyki. Spór w Raduniu toczy się *nie* o ilość nabożeństw tych lub innych, lecz o to, *czy* naogół mają być nabożeństwa litewskie.

Garść warcholów i awanturników, która w ciągu lat ostatnich zerwała w Raduniu szereg nabożeństw, mianych tu w dni oznaczone dla Litwinów, próbuje genezę swej akcji uzasadnić, beczelnie kłamiąc, że w Raduniu do r. 1912 *nigdy* język litewski nie był słyszany w kościele!; że ówczesny ks. administrator *siłą* go tu wprowadził! Ponieważ żyją jeszcze księża i parafjanie, co pamiętają język litewski w Raduniu przed trzydziestu laty i ordynację nabożeństw z r. 1912, nie będziemy tu dłużej zatrzymywali się nad kłamliwością nie proszonych (a może proszonych?) obrońców polskości w Raduniu. Jednak wzięcie przez nich kłamstwa i to takiego za punt wyjścia dla całej akcji, daje odrazu dokładne pojęcie, czego są warci ci ludzie i ta robota.

chać... Ale darmo zlął na sam brzeg i wstrzymywał oddech w piersi, o mało butów na amen nie pogubił w bagnie i *"takim samym durniem wrócił się"*, jak sam sobie przyznał. Nic nie pojął i nie zrozumiał.

W jakiejś godzinie niewiadomej, ale później przysiadł na ganku wielkiego dworu i mając koło siebie oba wielkie psy dyszące, z ociekającymi ze zmęczenia pyskami, poczuł nagle w swej pierwotnej duszyczce ogrom świata...

Jak wielki, nocny potwór, czyhający od dawna koło niego niewidzialnie, spadła nań z mora strachu i przygniatające wrażenie samotności. Dopiero w tym momencie, poczuł i zrozumiał, jak malutką jest kruszyną, samotną, bezradną, głupią i opuszczoną, a jak ogromnym jest dwór z jego licznymi i tak różnymi mieszkańcami, jak olbrzymim jest w dali szumiący bór, jak nieskończenie dalekie jest niebo i ile w tem wszystkim czai się niepojętego przerażenia... Zaczął się bać do szpiku kości, do najgłębszej swej świadomości, skulił w kożuch i trząsł się cały, skamlając ze strachu i myśląc gdzie się skryć, gdzie uciec przed tem czemś niezrozumiałem, okropnym, co la-

zło ku niemu zewsząd, było koło niego, nad nim i niemal ogarniało go, jak woda ogarnia topielca.

Wytknąwszy koniec zziębniętego nosa i brzeg oka, dojrzał tuż przemykający, aksamitny lot nietoperzy, goniących się z cichym piskiem, w parku pułhacz zaczął wabić sowę zaśmiewając się spazmatycznie szatańskim chichotem... Gorące lzy puściły się ciężkimi, szybkimi kroplami z oczu Kławdzi i toczyły jedna za drugą po zlodowaciałej gębuli. *"Ot i czort uśmiecha się w gaju, czysto jak dziecko płacze teraz... kusi znaczy się"* medytował, czując się oddany mocom ziemskim, piekielnym i niebieskim, z których każda była niepojęta i groźna, *"a możesz to krumkacz"*, uspakajał się rozsądkiem obytego z naturą chłopca... *"pacy latajo po lufcie"*, opowiadał sobie dalej dla dodania odwagi, słysząc głucho tupoty nad głową, *"musi ichnie wesele teraz, bo i szcurynym czadem oddaje... ot żesz kuota niema... dałby im dychtu... trzeba przynieść srokatego kacuczka od mamy, a to pacy paskudztwa, jajki hołuboczku wypijuć"*... jako też istotnie słycać było na poddaszu domu, jakieś trzepotania skrzydeł, burzliwe gruchania i łoskoty; w cieniach nocy toczyła się odwieczna walka o byt dla siebie i rodzin. *"Ot nudno*

Garść awanturników, działająca na terenie parafji Raduńskiej, nie może jednak ponosić odpowiedzialności całkowitej za swe zbrodnicze wystąpienia. Pracuje ona w Raduniu, lecz jest ekspozyturą pewnych polskich stronnictw nacjonalistycznych, które z Wilna skrycie nadsyłają jej swe instrukcje, z nią się porozumiewają i jej akcją kierują. Nam w Wilnie doskonale są wiadome organizacje i osoby, które wnet rozgrzeszają *wszelki* występ, mącący nawet spokojny bieg życia w kościele, jeśli tylko da się on podciągnąć jakoś pod tak miłe dla endeków hasło polszczenia. Czyż nie widzimy jak p. J. O. z *Dziennika Wileńskiego* usiłuje nie tylko warcholów i łotrzyków przedstawić jako bohaterów sprawy narodowej, lecz też jako niewinną a bezbronną ofiarę napastliwości Litwinów raduńskich?! Tyle się mówi i pisze dziś w kołach narodowych o potrzebie instynktu państwowo-twórczego, a gdy się nadarzy tylko okazja udzielenia poparcia moralnego czynnikiem ładu i porządku, to często ją się zmarnuje najnieroztropniej. Owóż i w Raduniu opieką prawa cieszy się dziś *nie* spokojna większość parafjan, nic nie mająca przeciw Litwinom i ich mowie w kościele, owszem bolejąca nad warcholstwem kilkunastu wichrzycieli; lecz właśnie garstka awanturników i intrygantów! Co znaczy jakichś 200 niechętnych na 10000! Dufni w siebie dzięki bezkarności zupełnej, umieli oni gwałtem narzucić swą wolę innym pośród parafjan, jako ludziom prostym, ciemnym, bezbronnym i steroryzowanym. Garść wichrzycieli za prowodyrów ma kilku osobników o bardzo podejrzanym konduicie, którym dotrzymuje pola para histeryczek, wyrzuconych przez władze kościelne z tercj. Szczególnie się odznaczyła w Raduniu rodzina niejakich Mosewiczów, z których Antoni i Jan, to byli bolszewicy milicjanci, a Adela i Antonina — wypędki z tercji. Wiosną r. 1923 w Raduniu ta osławiona banda napadła w kościele litewskie tercjarki, zgromadzone na doroczne rekolekcje, i przy użyciu lasek i wrzaskach: do Kowna! uniemożliwiła spokojny przebieg wspólnych ćwiczeń i modlitw. Jakiś łazik w mundurze wojskowym krzyczał przytem w niebogłose: *my krew przelewaliśmy za ten kościół!* Jeśli był to nie pogrom Litwinów, to coś

już bardzo z nim pokrewnego. Znowu na jesieni r. 1923 ci sami awanturnicy udaremniili odprawienie adoracji litewskiej śpiewaniem *Nie rzucim ziemi!* Wypadki powyższe swą ohydą dorównywiają wyrzuceniu w r. 1915 z kościoła Raduńskiego chorągwi jedynie za to, że nosiła litewski napis: *Święta Maryo, módl się za nami!*. Takim oto burdom towarzyszyły już nieraz groźby rozbicia głowy i faktyczne bicie, czem próbowano steroryzować tych z parafjan raduńskich, co nie godzili się na bezczeszczenie murów swej świątyni. Napadnięci musieli nieraz ratować się ucieczką. Rząd polski, niestety, nic a nic nie uczynił dla skarcenia gwałcicieli porządku kościelnego, chociaż tak łatwo mógłby tu interwenjować.

Prokuratura wileńska, acz dobrze poinformowana o sprawie Raduńskiej i sprawcach burd, do niedawna ani myślała pociągnąć do odpowiedzialności warcholów, chociaż § 75 Kodeksu Karnego wyraźnie winien tu być zastosowany. Z olbrzymiem opóźnieniem, bo dopiero na początku r. 1924 wszczęto w sądzie okręgowym dochodzenie, które, jak to u nas zwykle, posuwać się będzie złotym krokiem. Znowu starosta lidzki i wojewoda nowogródzki, którzy mieli sprawę raduńską rozpatrzyć, dotychczas nic jeszcze nie uczynili, jakby to była rzecz najmniej pilna. Starosta lidzki przytem okazał się bardzo pomysłowym, bo oto z pytaniem, *czy potrzebne są kazania litewskie w Raduniu*, zwrócił się do rady gminnej w Raduniu, w skład której wchodzi *trzej niepiśmienni włościanie z Naczy i jakiś... Żyd z Radunia!*. Ale czy można wymagać tu większej gorliwości ze strony urzędów prowincjonalnych, jeśli ministrowie sprawiedliwości, oświaty i wyznań i spraw wewnętrznych tę sprawę najwidoczniej zasypiają? Nie pomogła nic nawet osobista interwencja u rządu nuncjusza. Doprawdy najbardziej na wysokości swego zadania urzędowego okazał się uczciwy wójt raduński, St. Kamiński, który nie bojąc się narazić się warcholom, powiadomił starostę lidzkiego, że jedynymi sprawcami burd kościelnych są wymienieni w jego raporcie agitatorzy. Natomiast najmniej godnie się zachowywali i zachowują w Raduniu policjanci, tolerując, a nawet popierając bez wszelkiej żenady pa-

stało na serdca", zapłakał znów, *kap jon skis, ten Purlan, jak uon mienia zwabiu... ot markotno, ot nudno... jeśli kce sie... oni wsie, takije zabrebuszcze, mienia i da miski nia padpuścili... i cztoż ja zjeu? Niczaho nia zjeu*"... żalił się dalej, becząc, czując istotnie czczość w żołądku i odrętwienie, nie pozwalające mu ruszyć się z miejsca.

Wtedy właśnie, zaczęły się dziać dziwy, szeroko i długo komentowane potem wśród dworni i tak rozmaicie, że nigdy Kławdzia nie mógł zrozumieć za czyją sprawą, w ową noc niesamowitą, zwierzęta wyprowały niezwykłe harce, a psy zaprowadziły go do zaklętego miejsca. Bo czyż to swoją mocą podniósł się, i widząc je wężące i drapiące w niedomknięte okno *orandy*, otworzył je i wsunął się za niemi do wielkiej sali, przepojonej zapachami jadła i wina, które go upoiły zanim tknął czegoś? Czyż by miał na jawie odwagę, sięgnąć i brać kolejno z wszystkich półmisków, ładując w brzuszynę niezmierną ilość mięsów i ciast, aż mu oczy na wierzch wychodziły i dławilo się gardło, niezdolne tykać tak szybko tyłu wyborności nieznanym i nigdy nie kosztowanym? Czyż nie było to jak w bajce, że Tur,—przysiągł by, że widział to na własne oczy, — rzucił się

z łapami na głowę świntucha i wojował z nią, szarpiąc, a ona mu się odgryzała, zgrzytając zębami „jak czort?” Śnił, czy nie śnił, że Fryka siadła do stołu jak ważna gospodyni, i zapraszała go do jadła, łapą pokazując co najlepsze.

Było, czy nie było, że *szczuryne wesele* tańcowało po stole, maczając ogony w sosach a wielkie, bezczelne *pace* nie bojące się niczego, piły z butelek, ruszając rudemi wąsami, jak zakrystjan z miasteczka po udanym feście?

On, czy nie on, siedział rozparty, jak pan i rozkazywał kundlom, a one służyły mu jak lokaje?

Jedno zostało mu w pamięci, przytępionej 24-godzinnym snem w odrynie, kędy go na drugi dzień odkopano w sianie, mając za umarłego; wiedział że we troje brali, rwali, zatapiaли żęby w coraz to inne, niewidzialne w ciemności rzeczy, smakowali, mlaskali i jedli... jedli... jedli...

trjotyczne wrzaski w kościele tamecznym. Dużą tedy ponoszą oni odpowiedzialność za niekończące się wypadki raduńskie. Poważne było niebezpieczeństwo, że zły przykład Radunia rychło znajdzie naśladowców w Naczy i tylu innych mieszanych parafjach djecezji wileńskiej, coby było istotną klęską.

Wypróbowały wszystkie możliwe środki w stosunku do Radunia, władza duchowna widziała się zmuszoną z bólem serca zastosować jesienią 1923 r. przewidzianą przez prawo kościelne karę zamknięcia *ad tempus* kościoła w Raduniu, a niezadługo potem parafję raduńską tymczasowo podzieliła między cztery sąsiednie, najbliższe. Nie po raz pierwszy spada na Raduń interdykt, bo już przed wojną był on stosowany przez kilka miesięcy.

Ze sprawą Raduńską wiąże się ściśle nazwisko ks. Kochańskiego, niefortunnego proboszcza w Raduniu. Nikt nie wątpi co do jego dobrej woli, ale dla sprawowania rządów w parafji mieszanej, trzeba jeszcze innych przymiotów. Mając sam ciasny widnokrąg, nie potrafił ks. Kochański być całkowicie bezstronnym dla swych parafjan i mężnie a konsekwentnie stawić czoło warchołom raduńskim. Dlatego bodaj największe burdy działały się za jego rządów w Raduniu i—nie bez jego winy (1915, 1922).

Władza duchowna, po wymierzeniu parafji Raduńskiej dobrze zasłużonej kary, bynajmniej nie przestała zabiegać o przywrócenie w Raduniu normalnego porządku rzeczy. W ciągu ostatniego miesiąca uczyniono ponownie szereg prób, widać jednak, że przedwczesnych, bo rozzuchwalony bezkarnością opór warchołów jeszcze trwa...

W całej sprawie Raduńskiej najbardziej charakterystyczną jest rzeczą, że rozagitowana banda w Raduniu skarży się *nie* na to, że Polacy mało mają nabożeństw polskich, lecz *że oprócz nich i Litwini coś mają!!* Stąd widać jak bezmyślną i szkodliwą jest akcja owej bandy warcholskiej, będącej ślepem narzędziem w rękach przewrotnej endecji.

Prowincialis.

Epilog.

Pisma białoruskie zamieszczają list otwarty dyrektora gimnazjum białoruskiego w Wilnie p. R. Ostrowskiego do p. Witolda Abramowicza, jako jednego z inicjatorów i założycieli T-wa Polsko-Białoruskiego. List ten, charakteryzujący wymownie nastój obecny sfer białoruskich, przytaczamy w całości, w przekładzie dosłownym.

Szanowny Paniel

Z polecenia mych kolegów i znajomych w sprawie organizacyjnego zebrania T-wa Polsko-Białoruskiego, mam zaszczyt zawiadomić Pana, że trwająca dotąd wojna polityczna nie daje możliwości wzięcia udziału w tem T-wie nawet tym Białorusinom, którzy jeszcze tak niedawno wyrazili swe szczerze życzenie znalezienia jakiegokolwiek środka w celu osłabienia i złagodzenia straszliwego ucisku, stosowanego planowo i systematycznie przez władze polskie względem społeczeństwa białoruskiego.

Tak oto np.: zamiast tego, żeby zaspokoić nasze bezwarunkowo słuszne i niezbędne, minimalne chociażby wymagania w sprawie polepszenia po-

żenia naszych szkół, co jest zgodne z prawami naszymi, jako odwiecznych obywateli kraju oraz z wolą naszego narodu, rządowe władze szkolne „przychylają się” obdarzyć, w charakterze jakiejś łaski, nasze wileńskie gimnazjum białoruskie komisją maturalną *w języku polskim*, nie zwracając uwagi na ośmioletnią naukę uczeni po białorusku, społeczeństwo zaś polskie, za pośrednictwem Wileńskiego Komitetu Wojewódzkiego „dla głodnych dzieci”, „polepszyło” swój stosunek do nas, pozbawiając (w kwietniu i maju) głodne białoruskie dzieci kawałka chleba, który im się należał z tego komitetu.

Z Waszej strony, Szanowni Panowie widzimy szczerze życzenie uzdrowienia tych uienormalnych stosunków polsko-białoruskich, jednakże oprócz dobrej woli i chęci żadnymi innymi środkami Panowie nie rozporządzacie, wówczas gdy druga część waszego społeczeństwa: reakcyjno-szowinistyczna, bodaj wyłącznie mająca obecnie wpływ na bieg życia w naszym kraju, jak widzimy, usiłuje wyzyskać wobec Europy sam fakt istnienia T-wa Polsko-Białoruskiego i bałamucąc opinię całego świata, jeszcze bardziej pogarsza naszą sytuację w Polsce.

Biorąc pod uwagę względy powyższe, aby uniknąć wyzysku ze strony waszych reakcjonistów-szowinistów, uważamy za pożyteczne dla naszej wspólnej sprawy powstrzymać się od urzeczywistnienia naszych projektów do czasu polepszenia naszego ogólnopolitycznego stanowiska w Polsce.

Ze szczerem poważaniem

Radosław Ostrowski

Dyrektor Wil. Gimn. Białorus.

Wilno, 29 maja 1924 r.

W czasie generalnej dyskusji budżetowej w Sejmie minister wojny gen. Sikorski wygłosił obszernie expose, w którym oddawał wielkie pochwały osadnictwu wojskowemu na ziemiach białoruskich oraz występował w obronie polityki polskiej przed zarzutami Imperjalizmu i militarizmu.

„Czy gdyby istniał ten imperjalizm polski,— mówił pan minister — nie byłibyśmy dawno w Kownie i nie podyktowalibyśmy naszych warunków? Mogę zapewnić, że stać nas na to“...

Niewątpliwie. Mogła również armja francuska z łatwością zająć Berlin w r. 1918, a jednak tego nie uczyniła. Czy z braku chęci? Rzecz znana, że od tego kroku powstrzymała Francję jedynie stanowcza postawa Anglii i Ameryki.

Nie zawsze więc i nie koniecznie wszelki czyn niedokonyany daje się wytłomaczyć jedynie brakiem odpowiednich chęci.

Piszą do nas.

Jaki ksiądz traci wpływy?

Czytając artykuły w „Przeł. Wil.” pod nadglówkiem: „Dlaczego ksiądz traci wpływy?” i rozważając tę kwestję, powziąłem przekonanie, że właściwie nie każdy ksiądz wpływy traci i dlatego postanowiłem skreślić tu kilka uwag, ilustrując je przykładami ze stosunków kościelnych w pow. Wołkowyskim.

Ks. J. K., proboszcz w J., nie sięgający po wawrzyńny mówcy sejmowego, działacza politycznego, lub narodowego, lecz sumiennie pełniący obowiązki duszpasterskie, każdego parafjanina nazywający bratem i każdemu w każdej sprawie i potrzebie po bra-

tersku starający się poradzić, chociaż pracuje w parafji, gdzie katolicy stanowią mniejszość w stosunku do ilości prawosławnych, wcale dziś wpływu nie traci, owszem ma mir nie tylko u swoich parafjan, ale również u prawosławnych i nawet poza granicami swej parafji. Ale ten ksiądz wcale nie czuje się nie-szczęśliwym, że siedzi w parafji, gdzie kościół wcale nie ma gruntu. Nie są mu ciężarem zaproszeni na fest okoliczni księża, znajdzie on środki na udzielenie gościny wakacyjnej klerykowi, owszem nawet czasu wojny znalazł możliwość trzymania u siebie paru wygłodzonych zbiegów z miasta, którzy zresztą nie okazali mu zbytnej wdzięczności. Taki ksiądz, powtarzam, wpływu nie traci.

Ale tuż obok w parafji W., gdzie kościół posiada spory kawał gruntu, ogrody, sady etc., ks. Z., proboszcz miejscowy, całkiem innej trzyma się taktyki względem ludzi, a to nie dla czego innego, jeno że sam jest praktycznym materialistą. Ten ma cztery konie, koło tuzina bydła rogatego, pobiera znaczne sumy za przyjmowane na paszę bydło, o wiele drożej niż tamten bierze za posługi duchowne, a jednak nie widać u niego kleryków, spędzających wakacje. Kiedy zaś niejako z musu, dla przyzwyczajenia zaprosi na uroczystość księży sąsiadów, to ci wyraźnie czują, że ks. Z., a zwłaszcza otaczająca go rodzina bardzo byłaby rada, by zaproszeni przywozili ze sobą niezbędny wikt, albo nawet wcale nie przyjeżdżali! W poufnych wynurzeniach ks. prob. i jego rodzina narzekają wciąż na biedę i niedostatki, co im jednak wcale nie przeszkadza bywać bardzo chętnie na herbatkach i kolacjach u zamożniejszych parafjan etc. Mimo dobrego uposażenia kościoła, organisty długi czas nie było, wreszcie parafjanie zgodzili go na własne środki! Nabożeństwo odprawia ks. Z. z pośpiechem. Majowe jaknajkrócej, a całe tygodniami nawet wcale go nie odprawiał. Wyznaczał je znowu na czas, kiedy może być w kościele zaledwie kilka, lub co najwyżej kilkanaście osób, zamiast odprawiać w godzinach wieczornych. W kazaniach ks. Z. przeważają grubijaństwa i wyzwiska skierowane do parafjan... Jako skrajny endek, popisuje się tylko na obchodach patriotycznych. I taki ksiądz chciałby mieć wpływy?!.. W całym jego postępowaniu, nie znajdzie się nic, coby mogło mu zapewnić utrzymanie jakiegoś takiego autorytetu, nie mówiąc już o wpływie głębszym.

Ksiądz, pragnący mieć należyty wpływ na parafjan, powinien zawsze mieć dla nich słowo szczerzej życzliwości, skuteczną poradę, serdeczną pociechę, mądrą przestrożę, również pożyteczną książkę lub pisemko... Tymczasem ks. Z. nie prenumeruje literalnie żadnej gazety, bo go podobno nie stać na to.. Tembardziej nie stać go na książki. Taki ksiądz wpływu traci, zawsze tracił i będzie tracił.

Są naturalnie liczne inne przyczyny, dla których księża wpływu tracą, ale ramki niniejszego artykułu nie pozwalają na przytaczanie ich. Powiem krótko, że każdy ksiądz, pełniący swój zawód z prawdziwego powołania, mimo najbardziej niesprzyjające warunki, będzie wpływ posiadał.

Wierny.

niem przewrotności i zlej woli tego poczytnego brukowca w wypadkach najbardziej jaskrawych.

Do tych należy niewątpliwie wiadomość, podana w jednym z ostatnich numerów „Dziennika Wil.”, jakoby Litwini święciańscy urządzili uroczyste nabożeństwo za duszę straconego, na mocy wyroku sądu doraźnego, bandyty Kowalewskiego, na którym była obecna szkoła litewska w Święcianach.

Oczywiście niema w tem ani słowa prawdy. Nabożeństwo żałobne było odprawione za duszę innego zmarłego, szkoła zaś była obecną na nabożeństwie dziękczynnym, odprawionem tegoż dnia, z powodu zakończenia roku szkolnego.

Komentarze zbyteczne.

Bibliografja.

Juljusz Kłosa Prof. Uniw. Stef. Bat. Wilno. *Przewodnik Krajoznawczy*. Wilno 1923. Str. 261 + IX z ilustr. i planem.

Każde nowe opracowanie *Przewodnika po Wilnie* jest wypadkiem dla miłośników przeszłości naszego miasta. Ze zrozumiałem zainteresowaniem czytaliśmy ostatnią tego rodzaju pracę, napisaną przez prof. J. Kłosa. Z wybitnie politycznej *przedmowy* widać najdokładniej, że autor pracy omawianej swą historią Wilna oddaje całkowicie na usługi endecji wojującej. Wilno, będące właściwie *rozdrożem ludów*, miało w ciągu wieków posiadać, według prof. Kłosa, *ludność jednolitą naogół (sic) pod względem narodowym* (p. 7). Biedna ta ludność dręczoną była w więzieniach przez inwazję litewską (p. 10), co jest najwierutniejszym kłamstwem, niegodnym powagi profesora. Ale nie tylko ludność Wilna, bo wszystko w niem według prof. Kłosa jest rdzennie polskiem, jak np. *nawskroś (sic) polski charakter architektury wileńskiej, — jej bliskie (?) pokrewieństwo ze sztuką dalekiego terytorjalnie Krokowa* (p. 11). Właśnie nadarzała się tu sposobność więcej powiedzieć o wileńskiej odmianie gotycyzmu, baroku, klasycyzmu...

Podobnyż gwałt prawdzie dziejowej zadaje dalszy „Zarys dziejów miasta”, zwłaszcza może „Okres przedhistoryczny”. Z domieszką fantazji prof. Kłosa wyprowadza nazwę Wilna od prawie mitologicznych Wilków i odważnie twierdzi, że „liczne odwieczne nazwy rzek... i miejscowości w całej Wileńszczyźnie” (p. 16) przemawiają za słowiańskością tych ziem... *Że prawdopodobnie ludność pierwotna Wileńszczyzny składała się z plemion ruskich [t. zw. (sic) białoruskich] (p. 17)*, z tem się łatwiej pogodzić, niż z mniemaniem profesorskim, że od dawien dawna *nie zmienia ono (Wilno) swego charakteru etnicznego*, poddając się *powierzchnowej tylko litwinizacji w niektórych nazwach przedmieść* (ib.). Oczywiście prof. Kłosa nie zna, pojęcia bodaj nie ma o języku litewskim i konstrukcji zapożyczonych zeń nazw i nazwisk!.. Inaczejby nie pisał, że w Wilnie za Jagielly nie spotyka się „prawie wcale nazwisk o brzmieniu litewskim”. I za Jagielly i później nigdy ich tu nie zbywało: weźmy choćby fundatorów kaplic katedry wileńskiej: Gasztold, Kieżgajło, Montwid, Woyna... Prof. Kłosa wynosi nadmiernie Unję Lubelską, ale czy mogli się spodziewać możnowładcy litewscy, co kładł swe podpisy na tym pergaminie, że spadkobiercy drugiego ich kontrahenta, różni *kultrurträgerzy*, będą dziś się wysilać na przepisanie na wyłączny rachunek polski całego bilansu wspólnego ich dorobku?!

Aby prostować wszystkie fałszy i insynuacje „Dziennika Wileńskiego”, należałoby wydawać specjalne czasopismo, wyłącznie temu zadaniu poświęcone. Mimo obfitości materiału, nie możemy zapełniać swych szpałt tak mało interesującą i tak jednostajną treścią. Ograniczyć się musimy wykazywa-

Niepowściągliwy tak w pochwałach, jak i naganach (wada dla historyka znaczna), prof. Kłos przezjaskrawia niekiedy opis ucisku rosyjskiego, twierdząc np., że *budowle prywatne także musiały (?) dostosować się do tego programu krańcową rosyjskością (!) swych fasad* (p. 40). Poza kilku wyjątkami, wznoszono u nas pozbawione wszelkiego stylu kamienice dochodowe... Wojska niemieckie zajęły Wilno 18 września 1915 (nie 191 p. 42). Dziejów ruchu litewskiego prof. Kłos nie zna wcale, skoro Litwę Kowieńską prawie utożsamia ze Żmudzią, a ruch separatystyczny litewski przed wojną nazywa *nikłym* (p. 43). Osobliwy historyk z prof. Kłosa: za litwomaniami nie jest on zdolny dojrzeć dziś w Litwie odbywającego się wielkiego procesu dziejowego. Niepotrzebnie też obciąża sumienie władz okupacyjnych, przypisując tylko im sztuczne wyhodowanie nienawści, jakby jej na Litwie nie wytwarzał już przedtem antagonizm klasowo-narodowościowy między chłopem litewskim a szlachtą polską.

Prof. Kłos podziela błędne zapatrywania innych polskich archeologów, niechcących w ocenie oddać tego, co się należy, pracy rzemieślników niemieckich, trudniących się nad budową Polski murowanej. Jednym z licznych u naszego badacza uogólnień jest opinia, jakoby „wszystkie (sic) zachowane dotychczas najstarsze zabytki budownictwa murowanego na obszarze ziem litewskich wykazują... cechy gotyku polskiego z XV w.”... (p. 59). Więc i prastara cerkiewka na Koloży pod Grodnem też? Co się nazywa „*Wzorem i metodą krakowską*” (p. 60), napewno powstało z przeszczepienia sztuki niemieckiej na grunt polski, o ile ten wówczas już istniał i był dostatecznie rozwinięty. Gdy już mowa o budownictwie, powiedziec trzeba, że prof. Kłos i in. zbyt są pewni siebie, posługując się terminem: *spalił się, zburzony, zrujnowany doszczętnie*... i opierając często na tem już fakt istnienia jakiegoś budynku *de novo*. Tymczasem takie powiedzenie jest bardzo względne i termin użyty sprawy nie rozstrzyga dostatecznie. Więc wszelkie klasyfikacje budowli wymagają ostrożności nadzwyczajnej.

Nam się zdaje, że wnętrze kośc. św. Anny, tak obce stylowi samego budynku, jest o wiele starszem niż lata 19.0—1904 i nie może być przecież dziełem wybitnych architektów zatrudnionych wówczas przy kapitalnej restauracji. Słusznie Niemcy podkreślali ogromne podobieństwo motywów gotyckich fasady św. Anny z paru budowlami gdzie indziej (Kowno, Gdańsk), natomiast jakież podobieństwo doń i bogactwo ornamentacyjne wykazuje kościół Bernardynów? (p. 66). Bodaj żadnego! *Stopy* wcale też nie są... dzwonnica św. Anny (p. 114).

Mówiąc o *Ostrej Bramie*, godzi się zwrócić uwagę, że ta jej nazwa jak również nazwa „*Ostrego Końca*” pochodzą zapewne od nazwy idącego przez nią traktu *Oszmiańskiego*, gdyż *aszmuo* po litewsku znaczy ostrze. (p. 187).

Tajemniczo brzmi zapowiedź, że wojskowość sama chce przywrócić kościołowi św. Ignacego dawny charakter i urządzić tu kościół garnizonowy, bo dotychczas była ona właśnie główną zaporą do tego. Kurczewski nic nie wspomina, by kościół św. Rafała miał być r. 1832 zabrany przez Rosjan na magazyn wojskowy, a napewno wiedziałby o tem. Uchybia powadze profesorskiej zwrot polemiczny w stronę zakrystjana bazyliki wileńskiej, który uparcie pokazuje tu miejsce znicza pogańskiego.

Historykowi Wilna przytrafił się gruby błąd:

biskup Kossakowski został powieszony, za zdradę kraju w 1794 podczas powstania, nie w Wilnie *przez ratuszem* (p. 159), lecz w Warszawie na Krakowskiem Przedmieściu przed kościołem Bernardynów... — Nie dopisała pamięć i wyobraźnia archeologowi, gdy pisze o kośc. św. Stefana, że „posiada jedną tylko (sic) nawę boczną (południową) (p. 162), wtedy gdy zbudowany o jednej nawie, w kształcie krzyża łacińskiego, ma nawę poprzeczną o dwóch ramionach. — Udaremnienie zamierzonego przez Siemaszkę zaboru kościoła Ostrobramskiego na cerkiew miało do skutku nie dojsć *wskutek silnego oporu Rady Miejskiej*, co jest trudnem wprost do uwierzenia. Istnem *curiosum* jest zdanie prof. Kłosa, że cudowny obraz M. B. Ostrobramskiej, ten *symbol (sic) polskiego Wilna*, jest niejako... idealizacją rysów Barbary Radziwiłłówny, dokonaną przez jednego z dworskich malarzy Zygmunta Augusta. Śmiało to twierdzenie wymagałoby szerszego uzasadnienia. — Mówiąc o zborze luteryjskim w Wilnie, należało zmiankować, że przy nim są mało znane, lecz bardzo cenne archiwa, kryjące w sobie dużo materiału do dziejów reformacji w Wilnie.

Znalazła w *Przewodniku* swe odbicie niekończąca się polemika o celę Konrada w murach Bazylikańskich. Widać jednak, że prof. Kłos nie uwzględnił paru ostatnich w tej materji artykułów, zamieszczonych przed kilku miesiącami na szpaltach *Przeгляdu Wileńskiego*. Wobec tego sprawa pozostaje jeszcze nie rozstrzygniętą... Zgoła mylnie i cudacznie pisze prof. Kłos o cerkwi *św. Michała na Snipszkach nad Wilją (sic), naprzeciwko (!) Góry Zamkowej* (p. 181). Cerkiew św. Michała jest w połowie ul. Kalwaryjskiej, natomiast nad Wilją jest katolicka cmentarna kapliczka św. Teresy. Znowu Góra Zamkowa tak dominuje nad miastem i okolicą, że ostatecznie każdy tu obiekt jest akurat... *naprzeciwko Góry Zamkowej*... — Wśród świątyń innych wyznań ścisłość nakazywałaby wymienić dość ładną *katańską kenesę*, wystawioną w stylu maurytańskim na Zwierzyńcu, *starowerską molelnię* (bezpopowców) na Nowym Świecie, no i *kozłowską kapliczkę* na Snipszkach.

Cmentarze Wileńskie opracował prof. St. Kościalkowski, zostawiając jednak znaczne luki. Tak wśród nagrobków na skasowanym cmentarzu św. Stefana, przeoczono płyty: Andrzeja Matuszewicza († 1816), prof. Uniw. Wil., Michała Hłuszniwicza (1797—1862), pomocnika Dyrektora Obserwatorium Wileńskiego, Anieli z Szuszkiewiczów Chomińskiej († 1859), artystki dramatycznej, i in.

Cmentarz żydowski ma ciekawy nagrobek jednego z Potockich, który przeszedł był na judaizm.

Pierwsza drukarnia w Wilnie powstała wbrew prof. Kłosowi nie w r. 1522, lecz 1525 i dlatego w r. 1925 przypada 400-lecie druku pierwszej książki w Wilnie. Tą pierwszą drukarnią była *białoruska* Fr. Skoryny (nigdy nie należała ona do Babcza, lecz tylko w jego domu się mieściła). Pierwsza polska drukarnia w Wilnie powstała o *pięćdziesiąt* lat później. Również myli się autor *Wilna* nazywając obraz Ruszczyca *Z przeszłości*, zawieszony w gabinecie rektorskim U. S. B., darowizną tego malarza. Obraz ten został darowany U. S. B. przez p. Stefana Dziewulskiego.

Zamykając sprawozdanie niniejsze, należy stwierdzić, że prof. Kłos aparat swój naukowy zaofiarował *tendencji ciasno nacjonalistycznej*. Wydając „*Przewodnik Krajoznawczy*”, historyk sztuki świadomie i ce-

lowo dąży do zatarcia w pamięci swych czytelników faktu, że kraj nasz nie jest etnograficznie polskim, a w kształtowaniu się Wilna pierwiastek polski był tylko spółczynnym.

Jadźwing.

Krywicz. № 1 (/) Kowno 1924. Str. 120 z ilustr.

W ciężkich czasach powojennych wydawnictwa nie oparte na kalkulacji, a służące zadaniom wybitnie ideowym, nieraz mają żywot nader krótki. Sądziłszy, że podobne *fatum* spotkało powyższy miesięcznik, z którego już kilkakrotnie zdawaliśmy tu sprawę. Miłą tedy niespodzianką było ukazanie się po dłuższej pauzie *Krywicza* w formacie zwiększonym (*in IV-to*), dwakroć grubszego a odbitego na znacznie lepszym papierze. Po raz pierwszy znaleźliśmy tak wzorowo wykonane ilustracje, w liczbie 16.

Układ numeru wciąż dawny. Na czoło szeregu artykułów redakcja *Krywicza* wysyła, jak zwykle, poezje, o których naszą opinię dostatecznie wypowiedzieliśmy pierwiej. Szereg fragmentów pod ogólnym tytułem *Z minuszczyzny* stanowi dosyć rzadki rodzaj w literaturze, bo osobliwą, najczęściej udatną mieszaninę historii z legendą gminną. Wobec biblijograficznej dziś rzadkości, że tak powiemy, klasyków folkloru białoruskiego, zupełnie na miejscu jest popularyzacja np. przysłów zebranych w Witebszczyźnie przez Nikiforowskiego... Myśl tę realizuje umiejętnie artykuł o charakterystycznym tytule: *Napoupystanki, napouprykazki*. W takiż sposób powstał dalszy art. Wereszczaki: *Smolenskaja legiendab ab św. Meksyrm*. (Merkuryrm!), a więc z najbardziej wschodnich kresów Białorusi.

Obecny numer *Krywicza* różni się od poprzednich udziałem kilku pracowników narodowości niebiałoruskiej, a jednak przyjaźnie dla Białorusinów usposobionych. Między innymi Ukrainiec dr. Zenon Kuzela zamieszcza tu ciekawy dla swych informacji art. *Nawukowaje Tawarystwa imieni Szewczenki u Lwowie*, będący dobrą zachętą dla Białorusinów wileńskich w ich ciężkiej dziś doli. Właśnie w r.b. mija 50 lat od chwili powstania tej instytucji. Dzieje wysiłków białoruskich nad stworzeniem własnych oddziałów wojennych w Rosji po rewolucji 1917 r. kreśli dobry tego znawca K. Jezowitau. Sporo miejsca poświęca on gen. Kondratowiczowi, który w r. 1918 czas pewien mieszkał w Wilnie i brał tu pewien udział w akcji politycznej.

Nomenklatura białoruskiej ptuszek zadziwia czytelnika bogatym w ustach ludu białoruskiego zasobem nazw naszych skrzydlatych przyjaciół. Dalej zasługuje na uwagę *Paleńnie knig na Białorusi*, skąd się dowiadujemy, że palono białoruskie księgi nie tylko w XVI i XVII w.w., lecz i w XIX wieku zginął w tenże sposób u nas niejedyn cenny księgozbiór. *Urad Ciwuna* jest znowu notatką z dziejów prawnictwa białoruskiego.

Całe społeczne piśmiennictwo białoruskie choruje na brak zainteresowania się zachodnimi kresami Białorusi. Dlatego szczególną nam przyjemność sprawia artykułik reminiscencyjny Jana z pod Łasosny: *Gorodzianski Białoruski Hurtok 1913 g. (Uspaminy)*.

Ocena działalności ks. Franciszka Hrynkiwicz, znanego pionera odrodzenia białoruskiego w Grodnie i Sokółskiem, obok trafnych sądów, zawiera parę mniej słusznych. Autor tych wspomnień pominął współpracowników ks. Fr. Hr., wśród których wymienić należy ks. Wacława Rodzkę, P. Aleksiuaka, Ad. Byczkowskiego, ś. p. Solankównę i in.

Do historii sztuki należy artykuł Własta p. t.: *Stuckija pojasy*, którego ciekawą treść dobrą ilustrują liczne podobizny dawnych pasów roboty słuckiej, grodzieńskiej (fabryka Tyzenhauza), nawet francuskiej... Są to odbitki pasów ofiarowanych przez Magdaleny księżnę Radziwiłłową Muzeum Miejskiemu w Kownie. Pod koniec zeszytu znajdujemy żółciowy wierszyk F. Bohuszewicza: *Panskaja łaska*.

W *Zapiskach* na wyróżnienie zasługuje notatka biblijograficzna druków białoruskich z 1863 r. Jak się okazuje, Kalinowskiego wspomagali w tej pracy Hryniewicki, F. Różański, Bronisław Szwarc... Rozumiemy dobrze oburzenie Białorusinów kowieńskich na wyrażne lekceważenie mowy białoruskiej w Mińsku, tak w wykładach uniwersyteckich, jak też w jego wydawnictwach. Cóż dziwnego zresztą, jeśli na uniwersytecie mińskim, Żydów jest 926, a Białorusinów... 3981 as.

W lipcu rozpocznie wychodzić w Wilnie

codzienne pismo
żydowskie p. n.

„FOROJS“

redagowane na wzór dzienników zachodnio-europejskich.

Pismo będzie miało charakter apolityczny i będzie wyrazem szczerych dążeń demokratycznych.

Pismo będzie reagowało na wszelkie zjawiska zarówno w życiu żydowskim, jak i w życiu kraju, oraz będzie dążyło do wytworzenia możliwych warunków współżycia między narodowościami zamieszkującymi kraj.

„FOROJS“ dostarczy najszybszych wiadomości krajowych i zagranicznych od własnych korespondentów zarówno z całej Polski, jak i ze wszystkich głównych stolic europejskich.

„FOROJS“ zwróci baczną uwagę na kronikę wileńską, która będzie odzwierciedleniem życia wileńskiego we wszystkich jego przejawach. Specjalny dział będzie poświęcony sprawom gospodarczym kraju i zagranicy.

W „FOROJS“ będą zamieszczone prace najwybitniejszych publicystów, polityków i literatów zarówno żydowskich, jak i nie żydowskich.

Cena pojedynczego numeru 15 groszy.

Redaktor - wydawca: Mieczysław Goldszajn.
Tymczasowy adres redakcji i administracji:
Wilno, W. Stefańska 23-10.

Treść numeru: Karykaturalny projekt. — *Prowincialis*. Sprawa Raduńska. — Epilog. — *Wierny*. Jaki ksiądz traci u nas wpływy? — Biblijografia. O d c i n e k. *Hel. Rom*. Śnił sen...